

Autor: THEKOSZMAR77

“Obrońcy i Kaci”

[Adventure] [Crossover] [Violence] [NLR vs SE]

Przeszła przez zardzewiałą bramę, i rozejrzała się. Nie było tutaj nic prócz pokruszonych pomników, popękanych marmurowych płyt grobowych i porozrzucanych wszędzie głazów. Nad całym tym bałaganem górowały odarte z liści, sękatę, poskręcane drzewa, na których migotały ostatnie promienie wieczornego słońca. Chwilę później czerwone niebo stało się szare, a świat pograżył się w ciemnościach. Z oddali majaczyła złowroga burzowa chmura, plująca co jakiś czas błyskiem piorunów. Na cmentarz nie docierały jednak dźwięki grzmotów. Wszystko było tutaj martwe, nawet powietrze było ciężkie i duszące.

Klacz odziana w białą jak śnieg zbroję i srebrną kolczugę przez chwilę stała nieruchomo, wpatrzona w walające się dookoła cegły, po czym ruszyła, ostrożnie stawiając kroki, nasłuchując. Nie miała wątpliwości, że jest to odpowiednie miejsce.

Miała na imię Bravery Price. Była inkwizytorem Dalarańskiego, Solarnego Kościoła, paladynem króla i rycerzem z Zakonu Białych Feniksów. Na głowie nosiła złotą opaskę, aby uwiązane w grubym warkocz, ciemne włosy, nie opadały na jej błękitne, czujne oczy. Jej jasnobrązowe ciało było napięte, niczym cięciwa łuku, kiedy cicho stawiała kroki na błotnistej ziemi.

W końcu przystanęła na niewielkim placu otoczonym zewsząd przez nierówne, cierniste krzewy, które najpewniej były niegdyś żywopłotem. Na środku placu znajdowały się porośnięte przez mech szczątki posągu. Pod nimi znajdowała się, umazana szkarłatnymi śladami brukowana alejka.

Bravery podeszła do czerwonych rozprysków, i dotknęła ich kopytem, odzianym w metalowy but. Tak jak myślała – krew była jeszcze świeża, spoczywała na dróżce, przez co najwyżej pół godziny. Następnie spojrzała na leżący nieopodal okrągły kształt.

Była to część zrujnowanego pomnika – starannie wyrzeźbiona, smukła głowa alicorna, w wielkiej koronie. Klacz pochyliła głowę, dotykając kopytem złoty ryngraf, spinający biały napierśnik. Ryngraf ów przedstawiał białego ptaka z majestatycznie rozłożonymi skrzydłami, na tle promienistego słońca – był to symbol jej zakonu.

Klacz ostrożnie ruszyła dalej, wodząc wzrokiem po kolejnych szkarłatnych plamach. Krwawe ślady wiły się pomiędzy nagrobkami, pniami ściętych drzew i wystającymi z ziemi grubymi korzeniami, aby wreszcie urwać się przed dużymi, obskurnymi wrotami krypty. Grobowiec był zbudowany z szarego ciosanego kamienia, zewsząd porośniętego przez bluszcz i mech. Przez szparę pomiędzy zgniłymi, drewnianymi drzwiami zionęła głęboka ciemność.

- Tak. – pomyślała Bravery - To naprawdę odpowiednie miejsce.

Nie mając już żadnych wątpliwości, odnośnie tego, co znajdzie w mroku krypty, klacz odeszła na niewielką odległość od zarośniętych murów, i stanęła na dużej grobowej płycie, która była jeszcze w miarę znośnym stanie. Chwyciła w zęby białą kredę, i wymalowała wokół siebie okrąg. Następnie namalowała mniejszy okrąg, wewnątrz poprzedniego, a potem niewielkie koło w centrum rysunku. Zadowolona z uzyskanego efektu, zaczęła wpisywać w pierścień kręgów wyrazy, za pomocą magicznych, starożytnych znaków. Były to dwa słowa: „ochrona” i „fizyczne”. Na końcu, w kole, wewnątrz rysunku klacz namalowała pięcioramienną gwiazdę. Inkarnacja pierwszopozimowego zaklęcia zbroi była gotowa. Do działania potrzebowała jeszcze jedynie źródła energii magicznej.

Bravery Price wyjęła ze skórzanego woreczka niewielki kryształ. Kamień ten świecił i pulsował dziwną, wewnętrzną mocą. Takie kamienie nazywane były onyksami i powszechnie cenione za zdolność przechowywania magii. Klacz położyła go na namalowanej gwieździe, i w mgnieniu oka przestał lśnić, zmatowiał. Rozjarzyły się natomiast runiczne symbole, rozświetlając pograżone w ciemnościach cmentarzysko. Inkwizytorka weszła do kręgu, i poczuła jak magia otacza całe jej ciało. Potem świetlista aura zniknęła, tak samo jak narysowana na płycie inkarnacja.

Następnie klacz zanurzyła kopyto w małym, okrągłym pudełku. Zebrała trochę znajdującego się tam szarego kremu, i wtarła tłustą zawiesinę w swoje powieki. Otworzyła oczy. Świat nie był już taki ciemny, widziała wszystko tak samo dobrze, jak za dnia.

Biorąc głęboki oddech, poprosiła Matutinę o pomoc, jak należało czynić przed walką. Nie śpieszyła się. Wiedziała, że nie może już pomóc temu, kto zostawił krwawe plamy.

- Najedzony będzie mniej ruchliwy – pomyślała Bravery, poprawiając wiszącą przy jej boku, długi, srebrny pugań.

Weszła do krypty, wpuszczając do środka mętne, nocne światło. Zardzewiałe zawiasy drzwi zapiszczały, przecinając ciszę, niczym niewidzialne ostrza. Klacz powoli jak nigdy dotąd, schodziła po schodach, prowadzących w dół, do komory grobowej. Ostrożnie stawiała kroki na kamiennych stopniach, kierując uszy we wszystkie strony, nasłuchując. Była pewna, że wie już o jej obecności.

Stała na krańcu schodów obserwując wnętrze dużego pomieszczenia. A widok nie był zbyt przyjemny. Pomiędzy kolumnami, rozbitymi świecznikami i fragmentami metalowych naczyń walały się kości i ciała. Zwłoki były w lepszym, lub gorszym stanie - jedne całe, drugie rozszarpane, a niektóre kompletnie pożarte przez zgniliznę. Najświeższy wydawał się być kuc, leżący pod kamiennym, zdobionym sarkofagiem.

- Ssss. – rozległo się głośnie syczenie.

Coś śmignęło między marmurowymi kolumnami, i z nieziemską szybkością rzuciło się na nią. Klacz, która trzymała już w zębach pugań, zrobiła unik i wykonała krótkie cięcie. Bestia odskoczyła, zaskoczona.

Sino - szara postać, wylądowała na środku sali i zasyczała gniewnie. Twarz miała zniekształconą i szpetną, wyglądem przypominającą łeb wielkiego nietoperza, ogromne, spiczaste uszy, spłaszczony, szeroki nos, wystające z ust długie kły i dzikie spojrzenie kocich oczu z pionową, cienką źrenicą, iskrzących się szkarłatnym blaskiem. Potwór otworzył pysk jakby prezentując rzędy sierpowatych zębów, napiął mięśnie, rozłożył szeroko wyrastające z pleców, ciemne, błoniaste skrzydła. Wampir.

Tym razem to ona zaatakowała. Doskoczyła do potwora, i zamachnęła się, zadając cios z boku. Krwiopijca uniknął uderzenia, i machnął skrzydłami, wznosząc się do góry, aż pod sam sufit sali. Dla Bravery stało się oczywiste, że wampir jest zdezorientowany, spotkaniem z kimś kto może go zranić.

Potwór przeleciał przez komnatę, po czym odwrócił się do góry nogami w powietrzu i mocno odepchnął się od sklepienia. Zapikował na klacz, wyciągając długie,

szponiaste ręce. Bravery zrobiła zwinny unik. Rozległ się donośny świst, kiedy czarne pazury wampira przecięły powietrze. Inkwizytorka obróciła się, i wykonała puginalem szeroki młyniec. Potwór był jednak szybszy. Zamachał gniewnie skrzydłem, uderzając ją w twarz.

Klacz została odrzucona, na pobliską ścianę. Choć runiczna tarcza zatrzymała większość siły uderzenia, Bravery zaszumiało w głowie. W ustach czuła metaliczny posmak krwi. To była chwila, na jaką czekał wampir. Dосkoczył do niej, przygwoździł do ściany, i otworzył paszczę, chcąc wbić kły w jej odsłoniętą szyję. Bravery była jednak szybsza. Stuknęła kopytem złocisty ryngraf, a widniejący na nim alabastrowy ptak, wystrzelił ze swojego oka strumień światła. Bestia zawyla z bólu, gdy magiczny blask poparzył jej ciało. Wampir odskoczył od klaczy. Skóra na jego pysku, piersi i ramionach była zwęglona. To była chwila, na jaką czekała Bravery. Dobiegła do niego, i zadała szybki cios z dołu. Wampir został pozbawiony lewego skrzydła.

- AAAGGGRRRRRRRRHHHHHHHH - Z gardła stwora wydobył się kolejny wściekły ryk.

Machał szponami w niewypowiedzianej furii, starając się trafić klacz. Inkwizytorka wiedziała jednak, że gra na zwłokę. Jego przypalone ciało, odzyskało już swoją dawną barwę mętnej szarości, a kikut skrzydła zdążył już zregenerować kość. Gdy wampir zdał sobie sprawę z przewagi przeciwnika, odwrócił się, i rzucił w stronę schodów. Bravery musiała działać – teraz, albo nigdy.

Błona lotna na skrzydle, które odcięła, wykształciło się już w pełni. Wampir był gotowy do lotu. Klacz jednak wykonała długi skok, i nim krwio pijca zdążył odbić się od ziemi, wbiła mu puginalem w plecy. Srebrne ostrze zanurzyło się w jego ciele, przebijając serce. Bestia wydała ostatni, straszliwy skrzek, po czym upadła na zimną podłogę. W mgnieniu oka, ciało wampira szerniało, i zaczęło się dymić. Chwilę potem, mięśnie i tkanki rozwiały się, niczym spalony w ognisku papier. W komnacie pozostał jedynie czarny jak smoła, groteskowy szkielet.

Bravery Price, rycerz z Zakonu Białych Feniksów, królewski paladyn i inkwizytorka Dalarańskiego, Solarnego Kościoła obojętnie patrzyła na to wszystko. Wyjęła puginalem z pomiędzy czarnych żeber, a jego ostrze, mimo wszystko, nie było brudne od krwi i nadal pięknie lśniło. Klacz schowała broń do skórzanej pochwy. Idąc schodami, rzuciła jeszcze ostatnie, pogardliwe spojrzenie na wampirze kości, po czym pchnęła drewniane wrota.

Burza zdążyła już dotrzeć na cmentarz. Z nieba leciały strumienie deszczu, zewsząd dobiegały grzmoty i huki piorunów. Bravery podniosła głowę do góry. Zamknęła swoje błękitne oczy, pozwalając, żeby zimne krople padały na jej twarz. Wzięła głęboki oddech, nabierając przyjemnego, wilgotnego powietrza, po czym podziękowała Matutinie za wysłuchanie jej modlitwy.

* * *

Mieszkańcy Pogranicza!

Obywatele Imperium Dalarańskiego, poddani króla Irvisila, ludzie, kucyki, elfy i przedstawiciele innych ras. Zwracam się dziś do was w związku z wydarzeniami, jakie miały miejsce na pograniczu w ciągu ostatnich dni.

Jak wszyscy wiecie, z wiosek i miast leżących blisko granicy z Nemzirvaldem dopływają coraz liczniejsze doniesienia o tamtejszej obecności Nocnych, oraz ich bestialskich atakach na mieszkańców, ich trzodę i zwierzęta. Rycerze Zakonu Białych Feniksów proszą jednak, o zachowanie spokoju. Każdy Lunatyk, który ośmieli się wyjść z czarnej puszczy, zostanie natychmiast zgładzony.

Nie mniej jednak, aż do całkowitego zażegnania zagrożenia, dla bezpieczeństwa radzi się unikać bezdroży, ciemnych opuszczonych miejsc, takich jak jaskinie, czy też stare budowle, oraz, w miarę możliwości, nie wchodzić do lasów. Stanowczo odradzamy również zbędne ryzykowanie, poprzez wychodzenie z domostw, opuszczanie zamieszkanym terenów, po zachodzie słońca.

Pragniemy przypomnieć również, że wy także możecie pomóc Zakonowi w tępieniu nocnych demonów. Poza wstąpieniem w szeregi Białych Feniksów, uprasza się, aby o jakiegokolwiek dziwnych zdarzeniach, czy zachowaniach natychmiast donosić do najbliższego posterunku Zakonu.

Jeśli zauważysz osobę, o następujących cechach:

- ciało owłosione licznymi, szczeciniastymi włosami(u ludzi)
- zmierzwiona, będąca w nieładzie sierść(u kucyków ziemskich)
- długie, ostre zęby
- jaskrawe, lśniące oczy o niepokojącym spojrzeniu
- światłowstręt
- wzmożona aktywność w czasie nocy

Natychmiast donieść o tym rycerzom. Może się bowiem okazać, że osoba ta jest wilkołakiem .

Jeśli natomiast zauważysz u kogoś:

- bladą skórę(u ludzi)
- oczy z cienką, pionową źrenicą
- długie i ostre zęby, zwłaszcza kły górnej szczęki
- zakrzywiony do tyłu, gładki, pozbawiony segmentów róg(u jednorożców)
- błoniaste, pozbawione piór skrzydła(u pegazów)
- brak odbicia w lustrze, lub wodzie
- brak cienia rzucanego przez ciało
- światłowstręt
- wzmożona aktywność po zachodzie słońca

Również bezzwłocznie powiadom Zakon o takiej osobie, ponieważ możliwe, że jest to wampir, lub mroczny kucyk.

Przede wszystkim, należy zachować spokój i nie próbować zabić podejrzanego osobnika własnymi siłami. Nocni to stworzenia silne, przebiegłe i podstępne. Potwierdzeniem ich tożsamości, oraz ewentualną likwidacją, zajmują się wyszkoleni w tym zakresie solarni rycerze. Przewidziana jest również nagroda za pomoc w zdemaskowaniu szpiegów Nocnych, od 40 do 160 złotych promieni, w zależności od przydatności informacji.

Nie trwóście się! Póki Zakon Słonecznego Kościoła jest tutaj i dopóki Matutina rozłacza nad nami swą opiekę, Nocni nie zdołają złamać naszego ducha! Przegonimy ich powrotem do ciemności Diluculuma, gdzie ich miejsce!

Chwała słońcu! Chwała Królowi!

Podpisano: Najwyższy solarny arcypaladyn, przywódca Zakonu Białych Feniksów - Lord Bezenrick Gnislleh

* * *

Gdy dotarła do zamku, słońce przebijało się już przez ołowiane chmury, oświetlając budzące się do życia miasto. Grisvill było równie stare jak całe Bractwo Białych Feniksów. Odkąd Nocni zdomowali się w Nemzirvaldzie – mrocznej i nieprzystępnej krainie leżącej na południu, na granicy Dalaranu powstało wiele twierdz i

fortyfikacji, mających służyć jako posterunki solarnych rycerzy. Otrzymali oni od króla polecenie, aby strzec krainy przed zagrożeniem ze strony „Lunatyków” – jak często nazywano te groźne istoty. Zadanie to wykonywali od przeszło 500 lat.

Siwe Pióro było pierwszym zamkiem, wzniesionym przez królewski zakon, a rycerze ochrzcili go na swoją główną siedzibę. Z czasem wokół warowni wyrosły budynki, i pojawiło się miasto, które nazwano Grisvill.

Bravery przemierzała opustoszałe ulice, obserwując jak pierwsze promienie słońca liżą błękitne dachy strzelistych wież. Strażnicy przy bramie, którzy nieukrywanie ucieszyli się na jej widok, zasalutowali jej. Klacz odwzajemniła powitanie, wchodząc do zamku. Znalazła się na wielkim dziedzińcu, który w odróżnieniu od miasta, tętnił życiem. Kuce i ludzie, ubrani w białe zbroję krzatali się tu i tam w swoich sprawach, z kuźni dobiegał dźwięk uderzania młota o kowadło, a w oddali słychać było ćwiczących rekrutów. Bravery od razu poszła tam, gdzie powinien się udać każdy, kto wkroczy do Siwego Pióra. Do świątyni słońca.

Klacz weszła do olbrzymiej sali, przez zdobione wrota. Komnatę wypełniało, zabarwione przez witraże, światło poranka. Liczne drewniane ławy świeciły pustkami.

- A zatem wróciłaś moje dziecko. – odezwał się męski głos.

- Matutina była litościwa. – odpowiedziała.

Zza wysokiej kolumny wyłonił się mężczyzna w długiej, jasnej szacie. Miał około 50 lat, o czym świadczyła choćby, przecinana płytkimi zmarszczkami twarz i szara broda z pod której wystawał złoty medalion w kształcie słońca. Głowę miał zakrytą kapturem.

- Cieszę się, że okazała ci miłosierdzie. – powiedział podchodząc do niej – Ostatnimi czasy coraz więcej rycerzy, wyjeżdża stąd, aby już nie wrócić. Staram się, jednak nie nadążam się za nich wszystkich modlić.

- Więc ktoś powinien ci w tym pomóc, Revon.

Kapłan Revon Fronh był duchowym opiekunem stacjonujących w twierdzy rycerzy. Jak każdy klechta, mówił, że jest tylko skromnym sługą bogini słońca, choć oprócz wsparcia duchownego pomagał skrybie, skarbnikowi, zbrojmistrzowi, dawał wykłady uczniom na temat magii światła i co najważniejsze - udzielał rad przywódcy

zakonu, których ten skwapliwie słuchał. Co tu dużo mówić, w zamku, prócz dowódcy, nie było nikogo, kto był darzony tak wielkim szacunkiem i niczego, w czym kapłan nie miał swojego udziału.

- Zapewne przybyłaś tu, podziękować za okazaną ci łaskę. – Revon splótł dłonie na wydatnym brzuchu – Nie będę ci już przeszkadzał.

- Nie przeszkadzasz mi. Dziękuję za twą troskę. Ostatnio za dużo się martwisz.

Revon westchnął.

- Ponieważ od dawna nie było niczego, co dało by wszystkim powód do spokoju, Bravery. Nawet król jest zaniepokojony tym co się dzieje przy granicy. Lord Bezenrick będzie chciał się z tobą widzieć. Idź do niego jak najszybciej. Ostatnie dni mocno go doświadczyły. Potrzeba mu dobrych wieści. – powiedział, po czym wyszedł ze świątyni, zamykając rzeźbione drzwi.

Klacz przemierzała komnatę, mijając olbrzymie witraże. Jeden z nich przedstawiał ubranego w białą zbroję jednorożca, walczącego z wilkołakiem, na drugim widniał rycerz osłaniający się tarczą przed ciosem miecza zakutej w czarny pancerz, złowrogiej postaci, trzeci natomiast ukazywał scenę powietrznego starcia, pomiędzy pegazami, a straszhwymi stworami o nietoperzowych skrzydłach.

Wreszcie zatrzymała się przed wielką, marmurową rzeźbą stojącą na końcu sali. Była to rzecz, bez której świątynia byłaby tylko kamiennym budynkiem z oknami z kolorowego szkła. Był to posąg Matutiny – pani światła, stwórczyni słońca, jednej z sześciu bóstw harmonii, mitycznej matki księżniczki Celestii. Miała ona postać wielkiego alikorna, o eterycznej grzywie i ogonie. Była ukazana w typowej dla tego typu rzeźb pozie – stała na tylnych nogach, wpatrzona w dal, zwróciła smukłą, spokojną twarz przed siebie, jej potężne skrzydła były charyzmatycznie rozłożone, a długi róg sięgał niemal sufitu komnaty. Całość dopełniały królewskie insygnia ze szczerzego złota w postaci butów, naszyjnika, i widniejącej na głowie bogini, korony.

Bravery Price stuknęła najpierw kopytem swój ryngraf na napierśniku, po czym uklękła, dotykając niemal głową, zimnej, kamiennej podłogi. Pograżona we własnych myślach, usłyszała skrzypienie otwieranych świątynnych drzwi.

- Skąd wiedziałem, że cie tu znajdę? – na dźwięk tego głosu, klacz mimowolnie uśmiechnęła się.

Wstała, odwróciła się i poczuła ulgę jak za każdym razem, gdy widziała. Pegaz był odziany, tak jak ona, w alabastrową zbroję, odbijającą światło, niczym świeży śnieg. Kontrastowało to trochę z jego ciemnym, brązowym futrem. Jego zielone oczy patrzyły z radością na klacz, z pod kremowej, rozwianej grzywy.

- Dobrze widzieć cię żywego, Bolt Strike.

- Ja również cieszę się, że nie dałaś się zabić, siostrzyczko. – powiedział, a następnie przytulił Bravery.

- Choć. – polecił jej – Opowiesz mi wszystko.

Klacz wyszła z pegazem ze świątyni na zatłoczony dziedziniec. Nie podlegało wątpliwości, że wszyscy w zamku byli już na nogach.

- Więc. – powiedział, kiedy mijali kuźnię, skąd dobiegał duszący zapach rozpalonego pieca do metalu – Co to było.

- Ostatnio to ja mówiłam pierwsza. – odpowiedziała pegazowi – Teraz twoja kolej.

- No cóż. – westchnął – Zgodnie z rozkazem udałem się do tamtego lasu. Tamtejsi drwale się nie mylili. To był wilkołak. Jak nie trudno zgadnąć, wyszedłem z konfrontacji w jednym kawałku, w odróżnieniu od niego.

- Czy ten likantrop był...

- Pogardzonym? Tak.

- Ja też byłam we wiosce, gdzie wieśniacy wskazali mi drogę do starego cmentarza. Zlikwidowałam tam pogardzonego wampira.

Przez moment obaj zamilkli.

- Ostatnio coraz więcej mieszkańców pogranicza pada ofiarą pogardzonych. – powiedział smętnie pegaz - Od dawna ataki nie były tak liczne. Bezen rwie sobie włosy z głowy. Jest przekonany, że Nocni szykują coś większego.

Bravery zamyśliła się. Pogardzeni nie bez powodu byli tak nazywani. Stworzenia te powstawały na skutek procesu przemiany – potwornego rytuału, w czasie którego

dzienne stworzenie, było przetransformowywane za pomocą mrocznej, nocnej magii w Lunatyka. Niestety, niektórzy nie potrafili poradzić sobie ze swoim „darem”, jak nazywali to Nocni, i zostawali pochłonięci przez nikczemną siłę. Tracili panowanie nad sobą, ich ciała, nie mogąc znieść nocnej energii zostawały zbyt mocno przekształcone, a jedynym celem ich egzystencji stawało się zabijanie. Lunatycy uważali, że to ich mroczna królowa decyduje o tym, kto ma jej służyć, to też tych, którym nie udało się prawidłowo przekształcić, Nocni traktowali jak zwierzęta, swoiste psy obronne i doskonałe mięso armatnie.

- Idź do Bezena. – powiedział Bolt Strike.

Oboje stali teraz przed drzwiami do wnętrza twierdzy.

- Pewnie ucieszy się, że żyje.

- Zawsze się cieszył, gdy ktoś z Zakonu wracał z misji. Teraz po prostu cieszy się jeszcze bardziej. To na razie. – powiedział, wzbijając się w powietrze.

- Na razie.

Bravery przez chwilę śledziła wzrokiem lecącego pegaza, aż ten zniknął za murem wieży strażniczej. Następnie pchnęła drzwi. W trzewiach zamku, mimo jasnego poranka panował półmrok. Jedynie niewielkie, wąskie okna wpuszczały na długie korytarze odrobinę światła. Klacz mijła kolejno wejścia do poszczególnych komnat, zakurzone gobeliny, obrazy, uchwyty ze zgaszonymi pochodniami.

Nagle rozległ się świst, powietrze zaszumiało od elektryczności. Bravery szybko uchyliła się, przed lecącym w jej stronę, magicznym pociskiem, który przez chwilę odbijał się od ścian, niczym piłka, po czym uderzył w wiszącą na jednej z nich, metalową tarczę. Tarcza upadła na podłogę z potwornym łoskotem.

Klacz podniosła ją, i położyła pod ścianą, a następnie podeszła do pobliskiej komnaty, z której również dobiegały nieprzyjemne dla ucha, głośnie dźwięki.

- MIAŁEŚ GO TRAFIĆ! NIE MIAŁEŚ STRZELAĆ W SUFIT, ANI W OBRAZ, ANI ŻYRANDOL, TYLKO W JEGO SZPETNĄ MORDE!!!

Bravery powoli wsunęła się do pokoju. Przy ustawionych w równych rzędach ławkach, na krzesłach siedziało kilkanaście małych jednorożców i młodych ludzi. Miny mieli nietęgą jakby patrzyli w buchający płomieniami, otwarty smoczy pysk.

Kobieta o czarnych, uwiązanych z tyłu włosach, ubrana w błękitną szatę i pomarszczoną tiarę, ozdabianą na rondlu złotym paskiem, wrzeszczała na skostniałego ze strachu czerwonego żrebaka. Stała obok miejsca, gdzie powinien się znajdować nauczycielski stół, ale go tam nie było. Zamiast stołu była tam magiczna projekcja, szczerzącego groźnie zęby, mrocznego pegaza.

- Prze... przepraszam. – powiedział drżący jednorożec, tak cicho, że ledwie można go było usłyszeć.

- O, jak ślicznie Red Comet. Jestem pewna, że Nocni docenią twoje przeprosiny, kiedy będą wygryzać ci trzewia.

Ogierkowi oczy zrobiły się duże jak talerze. Widać było wyraźnie, że chciałby być teraz wszędzie, tylko nie tutaj.

- Witaj Elrono.

- Och, witaj Bravery Price.

Elrona Skywind od ponad sześciu lat pełniła w Siwym Piórze funkcję nauczyciela magii bojowej. Była surową kobietą o ładnej, choć ponurej twarzy, jakby wykutej z górskiej skały. Wbrew powszechnej opinii, jej metody nauczania przynosiły zadziwiające rezultaty, nawet jeśli większość jej uczniów wołała sprzątać cały zamek, łącznie z dziedzińcem i lochami, niż siedzieć na jej lekcjach.

- Jak ci idzie? – zapytała klacz.

- A jak myślisz? Oni nie potrafią nawet porządnie strzelać słonecznym promieniem.

- Może Revon powinien...

- Stop. – Czarodziejka uciszyła ją gestem ręki. – Ten klechta powinien siedzieć w swojej świątyni, a nie przyłazić tutaj i maczać swoje tłuste paluchy we wszystkim, co się

tylko da. Wątpię żeby on, albo jego modlitwy pomogły mi zrobić z tej bandy durni, królewskich paladynów.

- No cóż, mimo wszystko stara się nam wszystkim pomóc.

- Ta, niech się dobrze modli o to, żeby Nocni okazali się jeszcze bardziej tępi od moich uczniów.

Siedzące w ławkach jednorożce i ludzie wydawali się nie zwracać uwagi na jej słowa. Właściwie to byli widocznie uradowani, że wizyta Bravery odwróciła od nich uwagę nauczycielki.

- Pójdę już. Ostrzegę wszystkich w zamku, że twoi uczniowie ćwiczą strzelanie.

Elrona pożegnała ją, po czym wskazała palcem na jedną z ławek.

- Integra, teraz ty.

Wychodząc, klacz zobaczyła jeszcze, jak młoda dziewczyna sztywno podchodzi do swojego miejsca kaźni.

Przemierzając kolejne korytarze Bravery, witała się ze swoimi braćmi i siostrami z zakonu. Spotkała między innymi Silver Slasha – jednorożca o twarzy oszpeconej paskudną, długą blizną - pamiątką po ciosie szponów wilkołaka, Hurvela – tęgiego mężczyznę, którego klacz nigdy nie widziała bez okrągłej tarczy wzmocnionej smoczą skórą – pozostałości po czasach, gdy był najemnikiem na zachodzie, Zinvire – czarodziejkę, kiedyś o mały włos nie spalonej żywcem, za rzekome uprawianie nekromancji, oraz Arcane Gleam – klaczy jednorożca, która niegdyś przybyła do Dalaranu aż z Equestrii, jak zwykle z wielkim skupieniem siedzącą nad jakąś opasłą, starą księgą.

Żadnego z nich nie ostrzegła jednak o ćwiczeniach uczniów Elrony, ponieważ ktokolwiek, kto nie był głuchy na pewno usłyszał wrzaski czarodziejki, kłujące uszy, niczym niewidzialne igły.

W końcu zatrzymała się przed drzwiami do komnaty, znajdującej się na końcu holu. Stuknęła mosiężną kołatką w kształcie głowy drapieżnego ptaka i, nie czekając na odpowiedź, weszła do środka.

Przy umieszczonym na środku pokoju, szerokim stole siedział mężczyzna, który choć bez wątpienia w siłę wieku, miał włosy białe jak mleko. Równie jasna była jego metalowa zbroja, zdobiona akcentami w kształcie piór. Metalowe płyty pancerza w połączeniu z padającym przez otwarte okno słonecznym blaskiem sprawiły, że klacz musiała na chwilę odwrócić wzrok.

- Wróciłaś. – powiedział.

- Zadanie wykonane Lordzie Gnislleh. – klacz skłoniła się.

Rycerz podrapał się dłonią w metalowej rękawicy po, przyprószonej lekkim zarostem, twarzy.

- Więc. – odpowiedział wyjmując bure pióro ze szklanego kałamarza.

- Pogardzony. Wampir. Zdołał zabić 8 osób, zanim go zlikwidowałam.

Bezenrick napisał coś na kawałku pożółkłego pergaminu. Następnie zwinął go w rulon, i podniósł wieko leżącej na stole zdobionej szkatuły. Szkatuła była w całości wypełniona podobnymi do siebie, małymi zwojami.

- Znowu. – powiedział, wkładając dokument do skrzynki – Znowu Pogardzony.

Arcypaladyn, przywódca Białych Feniksów zmierzył klacz wzrokiem.

- Tutaj są wszystkie raporty z okolicznych wiosek, jakie zostały zrobione w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Rycerze interweniowali ponad 37 razy, zawsze były to ataki dokonane przez pojedynczych Pogardzonych. – zamknął szkatułę z donośnym trzaskiem.

- Podobno bardzo cię to niepokoi Lordzie. Również uważam, że na pograniczu dzieje się coś niedobrego. Spotkałeś się kiedyś z czymś takim.

- Nie. Ani ja, ani moi przodkowie nie mieli do czynienia z takim wysypem ataków. – oparł ręce na stolę, i przyłożył dłonie do twarzy.

Tak, naprawdę miał prawo do niepokoju. Zwłaszcza, że jego rodzice, dziadkowie, ani nawet pradiadkowie, również nie wiedzieli by co o tym myśleć. Rodzina Bezenricka dowodziła Bractwem od chwili jego powstania. Od ponad pięciu wieków ród Gnisllehów

strzegł granicy Nemzirvaldu. Każdy kolejny potomek zajmował miejsce poprzednika. Nikt nigdy nie zastanawiał się, co by było, gdyby któryś z rodziny umarł bezdzietnie. Posiadanie potomka było więc w rodzie równie ważne, co dowodzenie rycerzami światła w ich krucjacie przeciw cieniowi z południa.

Zawsze kiedy Lorda Siwego Pióra dręczył jakiś problem, pierwsze co robił to zastanawiał się, jak by postąpił któryś z jego przodków. A miał ich całkiem sporo. Wystarczyło rzucić okiem na wiszący na ścianie jego komnaty wielki gobelin, aby się o tym przekonać. Przedstawiona była na nim cała linia rodu Gnislleh - począwszy od Rinlifa Białego, przed Herinde Śmiałą i wielu innych, a skończywszy na, widniejącym na szczycie gobelinu, Bezenricku. Był on dumny ze swojej rodziny i tego, że jest powiernikiem ich świętej misji. Jednak to, że żaden z wcześniejszych dowódców Zakonu nie spotkał się z czymś takim, nie dodawało mu otuchy.

- Do tego dochodzą jeszcze te ogłoszenia. – westchnął rycerz – Chyba popełniłem błąd, pisząc o nagrodzie za informacje. Wczoraj był tutaj pewien kucyk. Zarzekał się na wszystkie znane mu świętości, że jego teściowa to Nocna. Prosił nas, żebyśmy poszli do jego domu, i ją zabrali, oraz oczywiście wypłacili mu pieniądze.

Tylko Lord Bezenrick mógł opowiedzieć taką zabawną historię w podobny sposób, w jaki czyta się listy do zmarłego na pogrzebach. Nie mniej jednak klacz zaśmiała się lekko.

- Tak, wiem coś o tym. – powiedziała – Kiedy zmierzałam do Grisvill, przechodziłam przez pewną małą wioskę. Był tam pewien pegaz idący przez ulicę razem z małą córką – najwyraźniej bardzo rozwydzoną klaczką. Kiedy mnie zobaczył, powiedział do niej: „Zobacz, jeżeli nie będziesz się grzecznie zachowywać powiem tej pani, że jesteś Nocnym Kucykiem, i wtedy cię zabierze”. Mina tego dziecka była warta więcej, niż całe złoto z królewskiego skarbcza.

Zgodnie z jej przypuszczeniami, twarz Bezenricka pozostała niewzruszona, niczym twarz posągu. Jeszcze nigdy nie widziała go uśmiechniętego, a co dopiero śmiejącego się. Niektórzy twierdzili nawet, że Lord Siwego Pióra cierpi na jakąś paskudną chorobę, nie pozwalającą mu ruszać mięśniami twarzy. Jednak szybko przekonywali się o niesłuszności swoich podejrzeń, kiedy widzieli go zdenerwowanego. A widok ten był niczym kometa przecinająca czarne niebo – rzadki, ale zapadający w pamięć na bardzo długo.

- Dobrze się spisałaś. – powiedział jej to, co mówił każdemu, kto wracał z misji w jednym kawałku. – Jesteś wolna. Odpocznij, a następnie czekaj na dalsze rozkazy.

- Tak jest Sir. – Bravery ukloniła się, i wyszła z komnaty.

Gdy znów znalazła się na korytarzu, dopadło ją nagłe uczucie senności. Wczorajsza walka dała o sobie znać, i klacz dopiero teraz uświadomiła sobie, że całą noc pędziła do zamku, aby złożyć raport. Wolnym krokiem ruszyła przez twierdzę, nie mając ochoty na myślenie o czymkolwiek. Nie zajęło jej dużo czasu dotarcie do swojego pokoju, w zachodniej wieży. Weszła do środka, zamykając za sobą drzwi. Następnie podeszła do okna, i otworzyła je. Do wnętrza komnaty wraz z ciepłym, porannym powietrzem wdarły się, dobiegające z dziedzińca dźwięki.

Klacz wzięła głęboki oddech, po czym zdjęła z siebie pas, ze schowanym w pochwie pugińalem. Wyjęła broń rzucając okiem na lśniące, srebrne ostrze, od którego odbijało się wdzięcznie, słoneczne światło. Yergan – zamkowy kowal, powiedział jej kiedyś, że ostrze nie jest zrobione ze zwykłego srebra, tylko z przetopionego napierśnika Świętego Noble Runnera*, a raczej tego co z niego zostało. Schowała broń do stojącego w rogu kufra, i zaczęła odpinać skórzane klamry i paski zbroi. Zdjęła z siebie białą zbroję ze światłostali**, odsłaniając widniejący na jej boku uroczy znaczek – stojącego na tylnych łapach, złotego lwa. Następnie zdjęła metalowe buty i opaskę, i ostrożnie położyła wszystkie elementy rynsztunku pod ścianą, na drewnianej półce. Odczuwając ulgę, upadła na łóżko. Położyła głowę na poduszce, zamknęła oczy, i zasnęła, słuchając dochodzącego z kuźni, rytmicznego dźwięku uderzania młota o kowadło.

* Noble Runner – był ziemskim kucykiem, rycerzem Zakonu Białych Feniksów. W roku 562, czasu wspólnego dowodził grupą żołnierzy w bitwie przeciwko Komandzie Nocnych, która rozegrała się na polach wsi Tevilin. On i jego oddział poświęcili się, powstrzymując Lunatyków, aby dać mieszkańcom wioski czas na ucieczkę. Jego ciało spoczęło w katedrze w mieście Egirios. W roku 568 został ogłoszony, przez słonecznego arcykapłana Uthirna, Świętym Solarnego Dalarańskiego Kościoła.

** Światłostal – metal powstały na skutek alchemicznego nasycenia stali, magiczną słoneczną energią. Najczęściej w tym celu używa się magii zawartej w słonecznych onyksach. Przedmioty wykonane ze światłostali są trzy razy bardziej wytrzymałe od stali i silnie odporne na działanie magii ciemności.

6 Czerwca 753 roku, czasu wspólnego.

Wyruszyliśmy z Lśniącej Łzy, gdy tylko słońce zabłyszczało na horyzoncie. Arzis wyznaczyła mnie, Flethera i Rock Shielda do tego zadania, i kazała ruszać jak najszybciej. Nie rozumiem, dlaczego tak się tym przejęła. W związku z ostatnimi atakami na pograniczu, zrobiła się nerwowa, ale czy naprawdę potraktowała poważnie opowieści jakiś chłopów, odośnie zniknięcia mieszkańców całej wioski? Jak znam życie to będzie kolejny bezsensowny wypad zwiadowczy, a ta niestworzona historia, rodem z przydrożnej karczmy, została wymyślona tylko po to, żebyśmy poszli do tej wioski, bo jej mieszkańcy srają po nogach, gdy tylko zobaczą nietoperza, albo usłyszą wycie wilka. Zresztą nieważne. Ganieć za wymyślonymi wampirami jest lepsze, niż siedzenie w twierdzy, i pilnowanie, żeby mury nie pękały. Może nawet znajdzie się tam jakaś chętna, ładna, młoda panna...

7 Czerwca 753 roku, czasu wspólnego.

Przekłęta pogoda. Wczoraj było słońce, dzisiaj jest burza. Na łeb można dostać. Leje tak mocno, że musieliśmy zboczyć z drogi, żeby znaleźć schronienie. Jakiś stary jednorożec pozwolił nam się skryć w swojej szopie. To chyba tartak, bo pełno tu zardzewiałych gwoździ, pił, porąbanego drewna i innego kłującego paskudztwa. Ale lepsze to niż brnięcie przez błoto i słuchanie piorunów trzaskających nad naszymi głowami. Nie przestaje padać, więc chyba spędzimy tutaj noc.

8 Czerwca 753 roku, czasu wspólnego.

Podziękowaliśmy jednorożcowi za gościnę, i ruszyliśmy w dalszą drogę. Po burzy na trakcie roi się od kałuż, zerwanych gałęzi i przewróconych drzew. Przynajmniej słońce znowu zaświeciło, a to dobry znak. Wreszcie weszliśmy na drogę prowadzącą do naszego celu. To dziwne, ale nie spotkaliśmy na niej żywego ducha, z nikim się nie mijaliśmy. Ba, nie widzieliśmy nawet żadnych mieszkańców okolicznych terenów, którzy powinni teraz być na polach, aby zobaczyć, czy burza wyrządziła jakieś szkody.

Zdziwiliśmy się wszyscy jeszcze bardziej, gdy dotarliśmy w końcu do opisanej przez chłopów wioski. Nie ma tutaj nikogo, nawet zwierząt. Cholera, zaczynam się niepokoić. Fletcher powiedział, żebyśmy się rozdzielili i przeszukali wioskę. Byłem w młynie, w kilku szopach, domach i piwnicach, ale oprócz szczurów nie było tam nic co by się ruszało. Jedyne na co zwróciłem uwagę to, że drzwi niektórych budynków zostały wywarzone, parę okien zostało wybitych od zewnątrz, a w środku panował straszny

bałagan. Jednak wszystkie przedmioty, które można uznać za cenne są na swoim miejscu. To nie mógł być bandycki napad. Podejrzewam czyja to robota, ale obym się mylił.

Nasza trójka po całym dniu poszukiwań spotkała się przed studnią w centrum wioski. Flether i Rock Shield nie odkryli niczego, czego sam nie zauważyłem. Postanowiliśmy natychmiast wyruszyć w drogę powrotną do Lśniącej Łzy. Arzis nie będzie zachwycona, gdy dowie się co tutaj widzieliśmy. I tak ma na głowie zbyt wiele problemów. Najpierw ataki, a teraz to. Żle się dzieje. Gdy w nocy spojrzałem na księżyc, poczułem niewytłumaczalny strach. Czuje w kościach, że coś się święci.

10 Czerwca 753 roku, czasu wspólnego.

To wszystko stało się za szybko. Szliśmy przez gościniec, chcąc przenocować u naszego znajomego jednoroźca. Nagle usłyszeliśmy głośnie, przeciągłe wycie. Wtedy z krzaków wybiegł wrzeszczący chłopak. Przewrócił się, gdy nas zobaczył. Nie zdążył się podnieść. Z pomiędzy drzew wyskoczył wilkołak, i zagryzł go na naszych oczach. To był kucyk – likantrop, więc początkowo myślałem, że to wilk. Dobiegliśmy do niego, chwytając za miecze. Próbował uciec do lasu, ale Flether rzucił na niego czar świetlistego łańcucha. Chwile później wilkołak był już martwy, a my uświadomiliśmy sobie w jakie gówno właśnie wdepnęliśmy. Wilkołak z daleka nas wywęszył, i zawył, a to oznacza, że nie był sam.

Pobiegliśmy przez drogę i nie zatrzymywaliśmy się, aż dotarliśmy do tartaku. Tam zaczęliśmy brać wszystko co nam tylko wpadło w ręce, i barykadować wejścia. Kiedy zużyliśmy, już wszystko, co nie było przymocowane do ziemi, stanęliśmy jak wryci z obnażonymi mieczami, i patrzyliśmy na zablokowane różnymi gratami drzwi. Nikt z nas nic nie powiedział. Chłopaki na pewno, tak samo jak ja, błagali Matutinę o łaskę.

Nie minęły dwie minuty, aż usłyszeliśmy głośnie walenie w drzwi szopy. Później słyszeć je było ze wszystkich stron. Nagle ucichło. Flether, jakby wiedział co się święci, bo schronił nas za magiczną barierą. Zabarykadowane drzwi rozleciały się z hukiem. W powietrzu, niczym rój os latały drzazgi, gwoździe i fragmenty rzeczy, z których pośpiesznie budowaliśmy barykadę.

Z chmury kurzu wyłoniło się pięciu Nocnych – mroczny jednorożec, dwa mroczne pegazy i dwa wampiry. Flether rzucił się na jednoroźca, i razem z nim wypadł z szopy. Zostałem ja i Rock Shield, przeciwko czwórce przeciwników. Walka była zażarta.

Wymienialiśmy zacięte ciosy, wściekle biliśmy się nawzajem, niczym wygłodniałe, dzikie psy.

Wtedy do szopy wbiegł mroczny jednorożec, który najpierw strzelił we mnie magicznym, osłabiającym promieniem, a potem w Rocka Shielda. Nogi ugięły się pod mną, i upadłem na ziemię. Dwójka wampirów podniosła mnie, po czym zadała mi parę ciosów w twarz.

Mroczny jednorożec powiedział im, że nie mają czasu, i że muszą natychmiast ruszać. Wynieśli, a raczej wywlekli mnie i Rocka z szopy. Wtedy zobaczyliśmy Flethera leżącego w błocie. Jego zbroja była poskręcana i porozrywana, a z jego piersi zionęła głęboka rana. Zginął jak na Białego Feniksa przystało. Najbardziej martwiło mnie to, że być może powinienem zazdrościć mu losu jaki go spotkał.

Na początku ciągnęli nas za sobą, ale potem odzyskaliśmy siły i szliśmy sami. Te ścierwa zwały nam ręce i nogi w taki sposób, żebyśmy nie mogli biegać. Przemierzaliśmy las, aż znaleźliśmy się na małej polanie. Był tam wilkołak i mroczna klacz, pilnujący dziewiątki więźniów. Był wśród nich ten stary jednorożec, który udzielił nam schronienia podczas burzy.

Nocni obszukali nas, i zabrali całą broń. Jedyne co pozwolili mi zatrzymać, to ten dziennik. Następnie ruszyliśmy w drogę. Opis wydarzeń z tego dnia udało mi się umieścić w dzienniku podczas krótkich postojów. Przynajmniej ten sznur, zawiązany na moich rękach, jest na tyle długi, że mogę pisać. Wczoraj jedynie przeczuwałem, że czeka mnie coś niedobrego. Teraz jestem tego pewien.

13 Czerwca 753 roku, czasu wspólnego.

Od innych więźniów dowiedziałem się, że są oni mieszkańcami wioski, w której byliśmy wcześniej. Powiedzieli mi, że widzieli na własne oczy, jak te kreatury zakradają się tam pod osłoną nocy, wdzierają się do domów i zaczynają obezwładniać mieszkańców. Ośmioro z moich nowych towarzyszy byli jedynymi, którym udało się uciec. Jednak nie na długo. Młodziak, który przeciął nam drogę, miał jeszcze mniej szczęścia, niż oni.

Pytali mnie o to, czy wiem co Nocni zamierzają z nami zrobić. Powiedziałem im, że chcą zabrać nas do Nemzirvaldu, i zrobić z nas niewolników tyrających w kopalni. Nie miałem serca mówić im tego, że może nas spotkać los o wiele gorszy, niż to.

Szliśmy przez całe trzy dni, więc dopiero teraz mogę coś napisać. Dowiedziałem się paru ciekawych rzeczy, o naszych oprawcach. Ten mroczny jednorożec, który zabił Flethera nazywa się Dark Dawn i jest dowódcą tej zgrai. Nie trudno było to zauważyć – inni Nocni zwracają się do niego z ogromnym szacunkiem. Nie jest on jednak zwykłym kapitanem, czy oficerem, tylko członkiem Czarnych Feniksów, jak można wywnioskować z jego czarnej zbroi, wykutej na kształt piór, oraz ryngrafu na jego napierśniku, z wizerunkiem czarnego ptaka na tle lśniącego półksiężyca. Skoro to Czarny Feniks, to wygląda na to, że jesteśmy więźniami jednego z najbliższych przydupasów samego Lorda Utara. Nie jestem w stanie wyobrazić sobie jak bardzo świat stałby się lepszy, gdybym tylko dał radę wbić mu suchy, drewniany kołek między żebra.

Ta dwójka wampirów to Mina i Jonathan. Są chyba małżeństwem, bo tulą się do siebie i całują. Niedobrze mi, kiedy na nich patrzę. Nie znam imion dwóch nocnych pegazów, ale wiem jak się nazywał wilkołak, którego zabiliśmy na trakcie. Kiedy ten pilnujący więźniów wilkołak dowiedział się, co zrobiliśmy, jego dowódca ledwo go powstrzymał przed zabiciem mnie. Nazwał martwą bestię „Wild Howl” i mówił o nim jako o przyjacielu i towarzysz. Jeśli chodzi o tego likantropa, to chyba ma na imię Grisved, a ta nocna ziemská klacz to Poison Thorn.

Rock Shield tak samo jak ja, wiedział, że jeśli chcemy uciec, musimy to zrobić przed wkroczeniem do czarnej puszczy. Jednak to było niemożliwe. Nocni pilnowali nas cały czas, nawet wtedy, gdy ktoś musiał iść w krzaki się wyszczać. Jednorożcowi i młodej dziewczynie z wioski założyli bransoletki antymagiczne, żeby nie mogli czarować. Nawet gdybyśmy dali radę oswobodzić się z więzów, i zdobyć naszą broń, we dwójkę nie mamy szans pokonać siedmiu Nocnych, w tym czarnego paladyna z ich najbardziej elitarnego oddziału. Gdybyśmy przecięli więzy, rozdzielili się, i każdy pobiegłby w inną stronę, skończylibyśmy tak samo jak tamten chłopak na drodze. Nocni uwielbiają polować na samotne cele. Nie wiem zresztą o czym ja w ogóle myślę.

W oczach więźniów z wioski widzę niewypowiedzianą trwogę. Są niepewni swojego losu, tak samo jak ja. Jestem jednak świadom, że zmierzamy do miejsca, z którego się nie wraca.

15 Czerwca 753 roku, czasu wspólnego.

Stało się. Wkroczyliśmy do Nemzirvaldu. Dalaran zniknął między drzewami, a wraz z nim wszelka nadzieja na ucieczkę. Wszystko tutaj jest dziwne i inne, niczym obraz z koszmarne go snu – drzewa mają czarne liście, są tutaj pajęczyny wielkości pościeli i pająki większe od psów myśliwskich. Wszędzie sły chać szmery, wycie wilków,

pohukiwanie słów, trzepotanie skrzydeł nietoperzy. Wydaje mi się, że las do nas szepcze, a wszechogarniająca ciemność, twarda i gruba, niczym zamkowa ściana, stara się nas zmiażdżyć.

Wierzę, że Matutina wciąż ma nas w swej opiece. Wiem, że czuwa nad nami święte światło słońca... Ale w tej przeklętej krainie nie ma słońca! Niebo, o ile takowe w ogóle widać spomiędzy koron czarnych drzew, jest zasnuwane wiecznymi, ciemnymi chmurami, nie pozwalającymi, aby krainę oświeciło słońce. Te mroczne obłoki były tutaj przed tym, jak na tych ziemiach osiedlili się Lunarni. Nazwa, jaką elfy nadały temu miejscu jest bardzo odpowiednia – „Nemzirvald” w ich języku oznacza „kraina pozbawiona światła”. Mroczni z czasem nauczyli się kontrolować te czarną zasłonę, i zaczarowali te chmury w ten sposób, aby rozrzedzały się i znikwały w nocy, a pojawiały się i gęstniały za dnia. Nic dziwnego. W promieniach słońca Nocni stają się słabsi, a dla Pogardzonych światło dnia jest niemal zabójcze.

Po mniej więcej godzinie od przekroczeniu granicy, spotkaliśmy innych Nocnych. Byli to zwiadowcy pilnujący granicy, jak wywnioskowałem z ich rozmowy z przywódcą naszych ciemnych. Zamienili kilka słów z Czarnym Feniksem, pytając min. o pochodzenie i stan więźniów, po czym zniknęli pomiędzy cieniami. Nie pamiętam jak długo szliśmy później, jednak kiedy w końcu się zatrzymaliśmy, większość moich towarzyszy niedoli upadła na ziemię z wyczerpania, ku salwie śmiechu Nocnych. Sam ledwo powstrzymałem swoje nogi, przed zgięciem się. Jestem rycerzem Bractwa Białych Feniksów, wojownikiem słońca. Nie okaże słabości na oczach tych kreatur. Gdy nasza droga przez las się zakończyła, zobaczyliśmy wielką, wyrytą na zboczu góry bramę i stojące po jej bokach wysokie, kamienne wieże. Wejście do podziemi. Strażnicy, otworzyli, zdobione płaskorzeźbami, monumentalne wrota, gdy tylko nas zobaczyli. Patrzyli na schwytanych wieśniaków z entuzjazmem, ale widok ubranego w białą zbroję kucyka i człowieka, wzbudził w nich jeszcze większą radość.

Weszliśmy do środka, do trzewi góry, a wrota zatrzęsły się za nami z hukiem, który odbił się echem od ścian tunelu. Korytarz ten, prowadził w dół i miejscami był dość stromy. Na skalnych ścianach nie było żadnych pochodni, ani latarni. Nocni i tak nie potrzebowali światła, żeby widzieć, jednak my musieliśmy iść bezustannie popychani i popędzani przez nich, i równocześnie uważać, żeby nie zabić się o jakiś wystający kamień. Na szczęście w nieszczęściu, z pomiędzy skał wyrastało mnóstwo dziwnych, wielkich grzybów, świecących zimnym, fioletowym blaskiem. Dzięki nim zdołaliśmy w końcu przejść przez tunel, i żaden z nas niczego sobie nie złamał.

Znaleźliśmy się w największej jaskini, jaką kiedykolwiek widziałem. Nasza twierdza – Lśniaca Łza, zmieściła by się tutaj, razem z wieżą obserwacyjną. Nie mogłem jej ogarnąć wzrokiem, a byłem pewien, że to tylko część większego, podziemnego kompleksu. Rosną tutaj te świecące grzyby, tylko że te są wielkości dębów. Podobnych rozmiarów są też stalagmity i stalaktyty. Wiele z nich jest tak ogromnych, że są w nich domy i budynki. Oprócz tego, różne budowle znajdują się bezpośrednio w skalnych ścianach, parę z nich stoi również na ziemi. Wszędzie pełno jest też świecących kryształów – większość nie przekracza rozmiarem kamieni z bruku, jednak niektóre, są prawie tak duże jak ja.

Szliśmy mijając kolejne kolumny i rzeźbione, kamienne łuki, aż wreszcie zatrzymaliśmy się na rozstaju dróg. Ja i Rock Shield zostaliśmy oddzieleni od reszty więźniów. Wampiry i nocne pegazy poprowadzili wieśniaków inną drogą, po czym zniknęli za skałami. My natomiast szliśmy dalej, przed siebie, wraz z Czarnym Feniksem, klaczą i wilkołakiem, aż natrafiliśmy na kolejne wrota. Myślałem, że jest to wejście do następnej jaskini. I nie pomyliłem się.

Znaleźliśmy się w miejscu, o którym w karczmach nie opowiadały ani najbardziej pijane i tępe moczymordy, ani najbardziej zadufani w sobie bardowie. Zamek Kruczy Dziób – stolica czarnego królestwa. Ogromna, smukła warownia, przytwierdzona do ścian jaskini. Z obu jej stron spływały lśniącymi żyłami, dwa wodne strumienie. Do zamku prowadził kilkunastometrowy, kamienny most, zawieszony nad bezkresną, czarną pustką.

Po przejściu przez bramę, weszliśmy na spory, okrągły dziedziniec. W samym jego centrum znajdowała się ohydna rzeźba tej ich urojonej królowej, którą tak wielbią i miłują – Nightmare Moon. Paskuda ta była zrobiona z czarnego kamienia, miała otwartą paszczę, w której sterczały ostre zęby. Wyglądała jakby chciała doskoczyć do gardła każdemu, kto wejdzie do zamku.

Na placu roilo się od Nocnych. Wielu z nich miało na sobie czarne zbroje przypominające ptasie pióra. Byliśmy niczym pszczoły w gnieździe szerszeni. Strażnicy przeprowadzili nas przez dziedziniec, jakby chcieli się pochwalić, że nas schwytali, a następnie weszliśmy do środka zamku. Tam zabrali nam zbroje. Przechodziliśmy przez labirynt zakrętów, aż w końcu znaleźliśmy przy schodach prowadzących do lochów. Czekal tam na nas.

To był Utar Efon. Przywódca Nocnych, arcywampir, najwyższy czarny lord, największy Księżycowy Paladyn i najlojalniejszy sługa Mrocznej Królowej – największy

skurwysyn i arcygnój świata. Nocni, którzy nas prowadzili omal nie połamali sobie nóg, tak żarliwie się przed nim pokłonili. Podeszedł do nas, a chory uśmiech na jego bladej gębie z każdą chwilą robił się coraz szerszy. Zapytał nas jak nam minęła podróż, oraz czy spodobało się nam Nocne Królestwo. Splunąłem mu w twarz. Przez moment wydawało mi się, że się udało, jednak potem zobaczyłem, jak moja ślina spływa po niewidzialnej barierze. Następnie popatrzyłem na ciemne kamienie podłogi, kiedy wilkołak przyłożył mi w brzuch. Przez długą chwilę, łapałem oddech, zgięty na pół. Utar jakby nigdy nic, powiedział, że moje zachowanie było nieuprzejme i szczeniackie, i że to nie przystoi solarnemu rycerzowi z Królewskiego Zakonu. Powiedział też, że nasze Bractwo to jedyna przeszkoda na drodze Nocnych, pieprzył coś o Czarnej Krucjacie, misji jaką zleciła mu Nightmare Moon, wiecznej nocy, zemście, Equestrii i ukaraniu księżniczki Celestii.

„Sranie w banie” – powiedział Rock Shield, i chwile później musiał zbierać się z podłogi. Utar ostatni raz popatrzył na nas swoimi gadzimi oczami, po czym odszedł, mówiąc, że już wkrótce przekonamy się czym jest prawdziwa siła, przejrzymy kłamstwa jakimi karmią nas słoneczni kapłani i uzurpatorka z Equestrii, jeśli Czarna Władczyni będzie dla nas łaskawa.

Zabrali nas do lochów, i umieścili w osobnych celach. Są one jednak położone blisko siebie, więc słyszałem co się dzieje w sąsiednich pomieszczeniach. Po prawej stronie od mojej celi uwięzili Rock Shielda, a po lewej znajdował się ktoś, kto bez przerwy majaczył i bełkotał, zupełnie jakby był na skraju obłądu.

Moja cela jest mała i strasznie zatęchła. Mimo że ma jedno okno, ledwo tutaj oddycham. Na szczęście, nawet tutaj rosną te świecące grzyby, więc przynajmniej nie zwariuję z braku światła. Gdy tylko strażnicy zamknęli drzwi, zostawiając mnie samego, natychmiast zacząłem spisywać dzisiejsze wydarzenia w dzienniku. Nie rozumiem, dlaczego Nocni pozwolili mi go zatrzymać.

17 Czerwca 753 roku, czasu wspólnego.

Siedzę w tej celi już od dwóch dni. Wiem to, ponieważ Nocni zaczarowali sklepienie jaskini, tak samo jak zaczarowali chmury. Za dnia skalny sufit jest normalny, jednak w nocy staje się przeźroczysty niczym szkło. Pewnie ustawili go w ten sposób, aby mogli podziwiać te ich gwiazdy i księżyc. Tyle tylko, że przez ostatnie dwie noce gównem widzieli, bo cały czas lało.

Większość czasu spędzam gapiąc się przez zakratowane okno mojego więzienia, na Nocnych, biegających po zamku jak mrówki. Parę razy, kiedy akurat w pobliżu nie było strażników, porozmawiałem też z Rock Shieldem. Próbowałem też dowiedzieć się czegoś od więźnia z sąsiedniej celi, jednak wydawało się, że moje słowa do niego nie docierają. Niemal bez przerwy się modli. Słyszałem jak drżącym głosem wypowiada słowa: „Miserere mei, et luce solis. Ut libera animam meam a tenebris”. Wypowiada te słowa jak mantrę, aż do jego celi wchodzi strażnik. Słysząc wtedy krzyki, jęki, huki, wrzaski i bluźnierstwa Nocnego, których nie śmiem powtórzyć. Po chwili strażnik wychodzi, a więzień zazwyczaj zaczyna płakać. Zawsze jednak po pewnym czasie zaczyna modlić się od nowa. Następnie znowu przychodzi do niego strażnik...

Nie mam zamiaru pytać Mrocznych patrolujących lochy, co mają zamiar z nami zrobić. Doskonale to wiem. Chcą nas przetransformować. Każdej nocy zabierają jednego więźnia z celi. Taki więzień już tutaj nie wraca. Zabierają ich po kolei. Przedwczoraj wzięli kuca znajdującego się o dwa pomieszczenia ode mnie, wczoraj wzięli kobietę z następnej celi. Dzisiaj najprawdopodobniej zabiorą tego jęczącego więźnia. Chyba, że Matutina raczy wysłuchać jego modłów.

Stało się. Widziałem jak wywlekali go z lochów. Więzień ten okazał się być młodym pegazem. Jego ciało było potwornie poobijane. Musiał siedzieć tutaj od dawna. Od bardzo dawna.

18 czerwca 753 roku, czasu wspólnego.

Zostaliśmy tylko ja i Rock Shield. Nie mamy pojęcia jak się stąd wydostać. Obaj doszliśmy do wniosku, że to praktycznie niemożliwe.

W pewnym momencie Rock Shield powiedział mi, że nie ma zamiaru zostać jedną z marionetek Utara, że urodził się jako Dzienny, i umrze jako Dzienny. Następnie ucichł. Nie reagował gdy do niego mówiłem. Do jego celi wbiegł strażnik. Przeklął głośno, po czym zawołał innego Lunatyka. Razem wywlekli mojego kompana na korytarz. Widziałem na jego szyi głęboką, cienką ranę i wypływającą z niej krew. Musiał jakimś cudem, znaleźć w swojej celi coś ostrego, albo udało mu się to tam przemyścić. Był słonecznym rycerzem do samego końca. Niech Matutina ma go w swojej opiece.

Zostałem sam. Patrzę teraz jak skalne sklepienie zaczyna znikać. Nocne niebo jest dziś obsypane gwiazdami. Słyszę ich kroki. Schodzą po schodach. Idą po mnie.

Bogowie pomóżcie.

* * *

Dark Dawn wszedł po schodach na szczyt wieży. Znalazł się pod gołym, rozgwieżdżonym niebem. Na dolę majaczyły korony czarnych drzew, bujane lekkim wiatrem. Wiedział, że go tu znajdzie. Zawsze przychodził do tego starego, przygranicznego posterunku, szukając samotności.

- Lordzie Utar. – powiedział mroczny jednorożec – Melduje, że...

- Ciii... - uciszył go wampir. Był odwrócony do niego tyłem, wodził wzrokiem raz po mrocznej puszczy, raz po czarnym niebie. – Słyszysz? To dzieci nocy. Jaka piękna jest ich muzyka.

Rycerz z Zakonu Czarnych Feniksów, jeden z najbardziej oddanych żołnierzy Czarnego Lorda, podszedł do krawędzi wieży, i utkwiał wzrok w srebrnej tarczy księżycy. Następnie zamknął swoje lśniące, kocie oczy barwy ametystu, i wsłuchał się w odgłosy lasu. Z daleka dobiegało pohukiwanie puchacza, trzepotanie skrzydeł nietoperzy, krakanie cieniokruków.

- Dzieła Diluculuma nie bez powodu, nie przestają napawać cię zachwytem, Lordzie.

Utar Efson, przywódca Nocnych, spojrzał na swego rycerza. Wampir wyglądał na osiemnastoletniego młodzieńca. Tylko nieliczni wiedzieli ile lat ma naprawdę. Ubrany był w czarną jak smoła zbroję z cieniostali, z długim płaszczem koloru krwi. Tej samej barwy były też jego oczy, w których zawsze płonęły takie same, niebezpieczne iskry. Z jego szczupłej twarzy niemal nigdy nie schodził niepokojący uśmiech, często odsłaniający perłowo białe, spiczaste zęby. Błada skóra Wampirzego Lorda w świetle księżycy, przybrała jasnoniebieski odcień. Jego czarne, długie włosy, z pomiędzy których wyrastały spiczaste uszy, były niczym wijące się cienie.

- To, że tak mało osób je docenia, napawa mnie i naszą Panią wielkim smutkiem.

Oboje utkwili wzrok w księżycu, w widniejącym na nim kształcie głowy jednorożca.

- Jednak, już nie długo... - szepnął wampir – O czym chciałeś mi donieść, mój lojalny sługo?

- Człowiek z Zakonu Solarnych otrzymał nocny dar. Królowa go przyjęła.

- Dobrze. Ostatnimi czasy była bardzo wybredna. Dzienni są coraz słabsi, ich wątłe ciała i umysły nie mogą znieść prawdziwej chwały, którą Nightmare Moon stara się z nimi podzielić. Nasza biedna królowa...

Przez chwilę stali w milczeniu. Nad wieżą przeleciał cieniokruk, a następnie wylądował na jednym z kamiennych blanków. Utar spojrział na czarnego, wielkiego ptaka wyraźnie zainteresowany. Jednorożec wołał mu nie przeszkadzać, jednak musiał dostarczyć mu jeszcze jedną wiadomość.

- Lordzie Utar. Rada już się zebrała. Czarni Lordowie czekają na ciebie.

Wampir powoli wyciągnął rękę, chronioną metalową rękawicą, i patrzył jak cieniokruk wzbija się w powietrze, a następnie siada na jego dłoni. Potem spojrział obojętnie na Lunarnego.

- A zatem chodźmy. Nie każmy się im dłużej niecierpliwic.

Utar nagle zrobił się kompletnie czarny jakby jego ciało zamieniło się w czystą ciemność. Potem mroczna materia zaczęła formować się w kształt. Pojawiły się błoniaste skrzydła, owłosiony tułów, szponiaste nogi i głowa, wraz z ogromnymi uszami. Nocny Lord pod postacią nietoperza wleciał do środka wieży, przez otwartą klapę w podłodze.

Mroczny jednorożec, również przemienił się w latającą poczwagę, po czym poleciał za swoim władcą. Przemierzali spiralne, długie schody, szybko i cicho, niczym zimny, nocny wiatr. Zatrzymali się przed kamiennym łukiem przypominającym ramę drzwi. Na jego gładkiej powierzchni były wyryte tajemnicze symbole. Zakrzywiony róg jednorożca załśnił fioletową poświatą. Następnie skierował on swoją magię na kamienny portal. Szeregi run zaświeciły dzięki dostarczonej im energii. W łuku pojawiło się magiczne przejście. Kucyk i wampir wkroczyli do portalu.

Znaleźli się w jednej z komnat Kruczego Dziobu. Przemierzali kolejne korytarze, napotykając Nocnych, którzy zawsze pochylali głowy na ich widok. W końcu przeszli przez zdobione drzwi, i znaleźli się w sali tronowej. Wszyscy już tam byli.

Przy drewnianym, długim stole siedział barczysty mężczyzna o ziemistej cerze, szarych włosach i jadowicie żółtych oczach, ubrany w masywną, ciemną zbroję. Na jego piersi widniały zapinki w kształcie wilczych głów, z otwartymi gniewnie paszczami.

Naprzeciw niego siedziała Nocna Pegazica. Jej niebieska zbroja silnie kontrastowała z białym futrem, a błękitne, zimne oczy przypominały dwie lodowe kule.

Oboje wstali, i ukłonili się, kiedy Utar szedł przez komnatę, aby zająć swoje miejsce na wysokim, kamiennym tronie. Umieszczona nad jego siedziskiem rzeźba Nightmare Moon, z rozłożonymi szeroko skrzydłami, patrzyła na zgromadzenie posępnym, surowym wzrokiem.

- Witam cię Lordzie Likaon i ciebie Pani Blizzard Trick. – powiedział wampir kładąc ręce na oparciach tronu – Mam nadzieję, że nie pozwoliłem wam się zbyt długo niecierpliwić.

- Skądże Lordzie Efon. – odpowiedziała mu pegazica – Mieliśmy dość czasu, żeby omówić kilka mniej ważnych spraw, dlatego proponuje przejść od razu do sedna naszego spotkania.

- Wczoraj zwiadowcy z zachodniej granicy spotkali posłańca Ognistych – powiedział mężczyzna, kładąc na stole zapieczętowany zwój – Prosił żołnierzy, żeby ci to przekazali, mój Panie.

Dark Dawn, który stał obok tronu, widział jak papier unosi się ze stołu, a następnie leci wprost do rąk Nocnego Władcy. Utar złamał szkarłatną, woskową pieczęć, w kształcie płomienia, i rozwinął dostarczoną wiadomość. Przez długą chwilę wodził wzrokiem po niej wzrokiem, następnie spojrzał na pozostałych uczestników narady, a zwój w jego dłoni rozpląnął się w powietrzu.

- Zgodził się. – powiedział, odsłaniając swoje stożkowate zęby w szerokim uśmiechu. – Książę Vulcan przystał na naszą propozycję. Jest gotów wyruszyć każdej chwili.

- To naprawdę dobra wiadomość. – pegazica również odsłoniła swoje ostre zęby – W zeszłym tygodniu Hades zapewnił nas, że również chce wziąć w tym udział. Jego wojska są już przygotowane na atak.

- A co z Powietrznymi? Dołączą do naszego przymierza?

- Chrysalis nie postanowiła jeszcze, czy zamierza nas poprzeć. Nie przysłała żadnego posłańca.

Wampir zaśmiał się cicho.

- Jest potwornie naiwna. Chcę jak najlepiej dla swoich poddanych, jednak nie wie, która ze stron wyjdzie z tego zwycięsko. Nie przyłączy się do nikogo, jeśli nie będzie pewna kto ma przewagę.

- Hades jest tego świadomy. – oznajmił Likaon. – jeśli zdecyduje się przyłączyć do Solarnych, Vironhilczycy staną się naszym wrogiem, a jeśli królowa wiatru zdecyduje się pozostać neutralna, jej państwo będzie tylko przeszkodą na naszej drodze. I w jednym i w drugim przypadku, jeśli takie zaistnieją, Hades obiecał zająć się Powietrznymi.

Dark Dawn natychmiast przypomniał sobie wszystko, co wiedział na temat Władcy Tartaru i o krainach przez niego podbitych. Przywołał obraz królestw najejanych niegdyś przez armie nieumarłych, obraz krajów, z których wypłeniono wszelkie życie, których mieszkańców zamieniono w... wzdrygnął się.

Do sali wkroczył mroczny kucyk, niosąc w zębach srebrną tacę, z dwoma butelkami, i trzema zdobionymi kielichami. Postawił ją na stolę, po czym oddalił się.

- Lordzie Utar, może skosztujesz? – zaproponował Likaon, chwytając za pierwszą butelkę.

- Nie, dziękuje. Nigdy nie pije... wina.

Ze stołu poleciał do jego dłoni kielich, wraz drugą butelką. Flaszka przechyliła się w powietrzu, napełniając puchar czerwoną cieczą. Dark Dawn poczuł cudowny, niemożliwy do pomylenia z czymkolwiek innym, lekko ostry aromat. Utar delikatnie powąchał napój, a następnie powoli wlał go sobie do ust.

- Natleniona – pomyślał mroczny jednorożec, czując jak ślina napływa mu do ust.

Arcywampir pewnie wyczuł jego żądze, ponieważ pstryknął palcami, i pojawił się drugi latający kielich. Wlał do niego szkarłatną ciecz, po czym naczynie przyleciało wprost przed nos kuczka. Czarny Feniks podziękował cicho Nocnemu Władcy, po czym wypił do dna.

- A więc wschodnie skrzydło jest bezpieczne. – powiedziała Blizzard Trick odsuwając puchar od warg. – Ognisci zaatakują od zachodu. A co z nami. Najpierw Dalaran?

- Tak. – odpowiedział Utar. – Musimy zgładzić Imperium, jeśli chcemy dostać się na północ.

- A Engrisor? Elfy na pewno ruszą Solarnym na pomoc. Nie wspominając, że z północy mogą otrzymać wsparcie z Brynilvu.

Likaon parsknął śmiechem przypominającym ujadanie wilka.

- Wodnych nie interesuje co się dzieje na powierzchni. Nawet gdyby chcieli pomóc słonecznym i reszcie gromadki... he, he, już sobie wyobrażam te syreny, trytony i morskie kucyki tarzające się po ziemi jak ryby wyrzucone na brzeg.

Jego rozbawienie przerwał surowy głos Utara.

- Nie lekceważ Wodnych. Są silni, a ich podwodne królestwo to ostatni mur, jaki będziemy musieli pokonać.

- Lordzie Efsen. – zwróciła się do niego klacz – A co z uzurpatorką?

Blizzard Trick wiedziała, że w obecności arcywampira lepiej nie wypowiadać jej imienia. Mimo to, Utar zacisnął mocno ręce na oparciach tronu. Z jego twarzy zniknął nagle arogancki uśmiech.

- Nie sądzę, żeby siedziała beczynn timer, kiedy z południa do jej utopii będzie nadciągał cień. Jednak co może zrobić? Nie ma nawet mowy o wsparciu militarnym. Equestria od wieków nie prowadziła żadnej wojny, ani konfliktu, przez co praktycznie nie posiada żadnej armii. Jedyną ochroną tej krainy jest słoneczna wiedźma. Ale teraz jest inaczej, niż pięćset lat temu. – to mówiąc wstał, i podszedł do stołu – Tym razem nie zdoła użyć Elementów Harmonii. Jest całkowicie bezbronna. Gdyby nie Dalaran, zgładzilibyśmy ją już dawno temu.

Dark Dawn zamyślił się. Dalrańczycy byli w większości wyznawcami bogini Matutiny – stwórczyni słońca. Uważali oni władczynię Equestrii za jej córkę, a za swój święty obowiązek, chronić ją i tym samym słońce.

- Poza tym – kontynuował Utar, a w jego oczach zapłonęły niebezpieczne ogniki – teraz nie jesteśmy sami. Ukryci w mroku, do którego nas wygnano urosiliśmy w potęgę. Jesteśmy gotowi. Wysłanie Pogardzonych na pogranicze, pozwoliło nam dokładnie określić siłę Solarnych. Pozyskiwanie nowych żołnierzy i robotników z wiosek, również postępuje bardzo sprawnie.

Wszyscy milczeli, wsłuchani w jego słowa.

- Nasza Królowa uważa, że nadeszła pora, abyśmy pomścili naszą krzywdę. Przemierzyliśmy oceany czasu, aby znaleźć naszą sprawiedliwość. Przysięgam na wszystkie gwiazdy, że Celestia zapłaci za swoje grzechy, a Equestria spłynie krwią jej poddanych. Pożałuje dnia, w którym uwięziła naszą władczynię, przeklinać będzie dzień, w którym ukradła jej księżyc i odebrała tron.

- A zatem wojna. – powiedział Likaon.

- Wojna. – odpowiedział wampir. Na jego twarzy znów pojawił się złowrogi uśmiech – Po trupie Dalaranu, do Equestrii.

* * *

Dark Dawn wpatrywał się w gobelin przez długi czas. Zawsze kiedy go oglądał nienawiść płonęła w nim ze zdwojoną siłą. Przedstawiał on grupę kucyków uciekających nocą, przed grupą ludzi w białych zbrojach i wyłaniającym się zza horyzontu słońcem. Tak właśnie Nocni odnaleźli Nemzirvald – uciekając. Mroczny jednorożec oderwał wzrok od gobelinu. Idąc ciemnym korytarzem przypominał sobie wszystkie historie, jakie słyszał o swojej rasie, o tym dlaczego zostali skazani na wygnanie.

Niegdyś, pradawnych czasach Equestrią rządziły dwie królewskie siostry. Wspólnie zapewniały swojemu królestwu dostatek i bezpieczeństwo. Aby chronić swoich poddanych utworzyły dwa zakony rycerzy. Pierwszy z nich, zwany Gwardią Dnia był podporządkowany starszej władczyni. Służący jej Biali Strażnicy bronili krainy, gdy oświeślał ją blask słońca. Drugie bractwo służyło młodszej siostrze. Nazywane było Gwardią Nocy, ponieważ jego członkowie – Czarni Strażnicy, chronili Equestrie po zapadnięciu zmroku.

Przez wiele długich lat oba klany nie pozwalały, aby poddanym działa się krzywda. Jednak z czasem Nocni i ich księżniczka zauważyli, że kucyki z większym

zaufaniem i uwielbieniem traktują starszą władczynię i jej strażników. Bali się natomiast Czarnej Gwardii, nie ufali jej i z niechęcią patrzyli na Panią Nocy.

Dlaczego Nocni mieli służyć komuś, kto miał im do zaoferowania tylko pogardę? Pewnej nocy, młodsza księżniczka odmówiła zabrania księżycu z nieboskłonu. Przemieniła się wtedy w Czarną Królową – Nightmare Moon, i wypowiedziała siostrze wojnę. Podczas ostatniej bitwy, mającej zdecydować o losie krainy, słoneczna wiedźma użyła Elementów Harmonii, aby uwięzić Królową w księżycu. Nocni, pozbawieni swej władczyni, stracili wiarę w zwycięstwo. Chcąc uniknąć zagłady ze strony uzurpatorki, rycerze z Nocnego Zakonu, zdecydowali się uciec do Dalaranu. Jednak na ziemiach ludzi ich sytuacja tylko się pogorszyła. Ówczesny król, widząc w Mrocznych zagrożenie, rozkazał ich zabić. Przemierzali krainę ścigani przez jego żołnierzy. W końcu, odarci z resztek dawnego honoru, zaszczuci jak sfora głodnych psów, dotarli do krainy, z którą Dalaran graniczył od południa. Było to mroczne i straszne miejsce, gdzie ludzie nie odważyli się ich ścigać. Król stworzył Zakon Białych Feniksów, aby strzegli południowej granicy przed Nocnymi.

Nocni natomiast, ukryci w czarnej puszczy Nemzirvaldu z czasem urosli w siłę. Jak się okazało, Król postanowił zsyłać do ich krainy przestępców i zbrodniarzy, myśląc, że Mroczni, albo żyjące tam bestie ich zabiją. Ci jednak postanowili zrobić coś innego. Zaczęli oferować wygnańcom nowe życie i możliwość zemśczenia się na tyranie. W zamian mieli oni przysięgnąć wierność zamkniętej w księżycu królowej i służyć jej, jako Dzieci Nocy. Większość z nich przystała na te propozycje. Mroczne Kucyki przeprowadziły wtedy na ludzkich wyrzutkach ten sam rytuał, którego używali niegdyś do pozyskiwania nowych członków swojej gwardii. Zmieszali ich krew z magią nocy, tworząc tym samym wampiry.

Gdy król dowiedział się co zrobili Nocni, natychmiast zakazał zsyłania tam więźniów, oraz wkraczania do Nemzirvaldu. Jednak było już za późno. Wszelkiej maści złodzieje, oszuści i rozbójnicy, chcąc uniknąć więzień, tortur, katowskiego pieńka i innych równie nieciekawych kar, uciekali do mrocznej krainy, aby przyłączyć się do Nocnych. Nie zniechęcało ich nawet to, że rytuał przemiany nie zawsze kończył się pomyślnie.

Dark Dawn idąc dalej, znalazł się w głębi zamku. Przechodził obok zamkniętych pomieszczeń zwanych „pokojami szeptów”. Były to cele, gdzie umieszczano tych, którzy zostali poddani rytuałowi przemiany. Mogli tam dojść do siebie po bolesnym przejściu, oswoić się ze swoim nowym ja, oraz jak mawiano „umrzeć dla dziennego świata i narodzić się do nocnego”. Ci natomiast, którzy zostali przemienieni wbrew swej woli,

zostawieni w ciemnościach, słuchali głosu Nightmare Moon. Mówiła do nich, starając się wybawić ich od kłamstw, jakie były im wpajane i przekonać ich do walki w słusznej sprawie. Królowa miała naprawdę wielki dar przekonywania.

- Co z psem z Zakonu solarnych? – zapytał Dark Dawn, stojącego na warcie strażnika.

- Królowa do niego szepcze. Nie zdołała go jeszcze wyzwolić, ale z pewnością się jej to uda.

Mroczny jednorożec kontynuował swoją przechadzkę. Lubił przemierzać twierdzę. Widok licznych gobelinów, płaskorzeźb, fresków, witraży i rzeźb, których pełno było w jej komnatach i korytarzach Kruczego Dziobu, uspokajał go. Niekiedy dzieła te wzbudzały w nim dumę, czasami również gniew i pogardę do niesprawiedliwości, jaka spotkała jego rasę.

Nocni krzątający się po zamku w swoich sprawach, zawsze pochylali głowę na jego widok. Nie bez powodu. Dark Dawn był członkiem Czarnych Feniksów – najbardziej elitarnej jednostki Lunarnych, dowodzonej osobiście przez Lorda Utara. Należeli do niego najlepsi Księżycowi Paladyni, a ich umiejętności bojowe nie były jedynym, co stawiało ich ponad innymi Nocnymi. Do Czarnych Feniksów należeli tylko Czarni Lordowie – tak nazywano najpotężniejsze Dzieci Nocy. W hierarchii Mrocznego Królestwa to właśnie oni dowodzili słabszymi Nocnymi, tworząc Czarną Radę, w której skład wchodził najsilniejsi przedstawiciele swoich ras. Ówczesna rada miała trzech członków: Likaona – przywódcę wilkołaków, Blizzard Kick – przywódczynię mrocznych kucyków, oraz Utara Efsona - najpotężniejszego Nocnego, najważniejszego z rady i przywódcę wampirów. Wspólnie utrzymywali oni w królestwie porządek i ład.

Dark Dawn był najbardziej zaufanym rycerzem wampirzego władcy, który pozwalał mu brać udział w naradach, aby, jak sam twierdził, nie musieć powtarzać mu decyzji, jakie zostały tam podjęte.

Mroczny jednorożec wszedł do wielkiej, ciemnej komnaty, w której znajdowała się wielka rzeźba. Zrobiona była z ciemnego kamienia, przez co ledwo było ją widać w mroku pokoju. Bez wątplenia był to alikorn, jednak postać ta była raczej przerażająca niż szlachetna. Jej błoniaste skrzydła były rozłożone, a kopyta ustawione w charakterystycznej dla świętych rzeźb pozie. Ogon i grzywa, z pod której wystawał zakrzywiony róg, przypominały obłoki zrobione z gwiazd. Najstraszniejsze były jednak

jego zęby – stożkowate i ostre, oraz kły przypominające wielkie igły. Był to Diluculum – stwórca księżyca, władca cieni, legendarny ojciec królewskich sióstr.

Kucyk dotknął kopytem swój ryngraf na napierśniku, który przedstawiał czarnego ptaka na tle błękitnego półksiężyca. Następnie uklęknął, i zaczął się modlić. Nagle usłyszał donośne skrzypnięcie otwieranych drzwi.

- Kapitanie Dark Dawn. – odezwał się głos – Lord Utar kazał cie powiadomić, że czas już ruszać. Żołnierze są już gotowi do drogi.

- W porządku. – powiedział wstając.

Podszedł do wyjścia. Ostatni raz spojrzał na rzeźbionego Diluculuma, prosząc go jeszcze raz o wysłuchanie jego modlitwy. Następnie zamknął drzwi, pogrążając kaplicę w głębokiej ciemności.

* * *

Nie chciała tego robić. Ale musiała. Jaki miała wybór? Patrzeć jak królewscy siepacze rozkradają ją i resztę mieszkańców? Słuchać wieści o tym, że ustanowiono kolejne podatki, na potrzebę budowy słonecznych świątyń? Czekać, aż ci z Zakonu wtargną do jej domu, i oskarżą o szpiegostwo na rzecz wroga?

- Nie. – pomyślała Scarlet Berry, zawiązując swój niewielki bagaż z żywnością.

Ziemska klacz odgarnęła jaskrawoczerwone włosy ze swoich zielonych oczu, po czym chwyciła paczkę w zęby, i otworzyła drzwi swojej chaty. Uważnie obejrzała się na wszystkie strony, nie chcąc, aby ktoś ją zauważył. Zresztą, w środku nocy, mogły ją zobaczyć tylko koty, albo zataczający się rolnicy, wracający z karczmy do domów.

Scarlet wyszła ze swojego domu, na ulicę, pogrążonej we śnie, wioski. Gdy zamykała drzwi, w jej głowie, niczym rój pszczoł, zaszumiało tysiąc myśli. Nie powinna tego robić. Jeśli to zrobi, nie będzie odwrotu. Powinna wrócić do środka. Tylko po co? Na co niby ma czekać? Łudzić się, że coś się zmieni?

- Nie. – szepnęła do siebie klacz, wykradając się z wioski.

Szła przez pole, wsłuchana w śpiew ptaków, dobiegający z pobliskiego lasu. Starła się nie myśleć o tym co ją czekało, jednak nie dawała rady. Co jeśli jej nie przyjmą? Co jeśli rycerze z Bractwa ją złapią?

- Nie. – powiedziała zdecydowanie, trzęsąc głową, aby odgonić czarne myśli.

Mijała kolejne pola, łąki, strumyki i stawy. Zmierzała na południe, w stronę Nemzirvaldu. Im mniejszy stawał się jej dystans od granicy, tym klacz robiła się bardziej niespokojna. Zrezygnowała z używania ścieżek, i zagłębiła się w las. Po godzinie marszu, klacz czuła się całkowicie zagubiona. Nawet jeśli uda jej się dotrzeć do czarnej puszczy, jaką ma gwarancje, że Nocni nie zrobią z niej niewolnicy, i nie wyślą do kopalni, tak jak wszyscy mówili.

Chciała powiedzieć „nie”, jednak bała się wydać z siebie głos. Ostrożnie stawiała kroki, idąc przez ciemny las. Odrobinę otuchy dodawała jej jaskółka, która towarzyszyła jej, odkąd tylko wkroczyła do puszczy. Z niewiadomego powodu ptak podążał za nią, przelatując między gałęziami drzew.

Klacz zatrzymała się. Dręczące ją uczucie stało się nie do zniesienia. Ktoś ją obserwuje. Teraz była tego pewna. Rozglądała się na wszystkie strony, obserwując ze strachem otaczające ją gęste krzewy.

Było ich dwoje. Wyłonili się z pomiędzy konarów drzew, wbijając w nią swój wzrok. Widziała ich lśniąco w mroku oczy.

- Zabłądziłaś? – odezwał się pierwszy z Nocnych – szary mroczny pegaz ubrany w niebieską zbroję.

- Nie. – Scarlet ledwo udało się cokolwiek powiedzieć – Ja... chce do was dołączyć.

- O naprawdę? – powiedział pegaz, podchodząc do niej. Zobaczyła jak gładzi językiem swoje spiczaste zęby – Jesteś pewna, że się nie zgubiłaś?

- Przymknij się Hail Cloud. Ona nie jest do żarcia. – wyzwała go wampirzyca, ubrana w taką samą, ciemną zbroję.

- Co zrobiłaś? – zapytała – Zabiłaś kogoś? Okradłaś?

- Zgwałciłaś? – dokończył pegaz, rechocząc.

Nocna rzuciła mu kolejne, pełne irytacji spojrzenie.

- To już zresztą bez znaczenia. – powiedziała – Choć z nami. Choć i zacznij nowe życie.

Scarlet ruszyła w dalszą drogę, w towarzystwie dwóch Mrocznych. Wypytywali ją o różne rzeczy. Oprócz jej imienia, chcieli dowiedzieć się czegoś na temat Zakonu Białych Feniksów. Na większość ich pytań nie umiała odpowiedzieć. Powiedziała im jedynie, że Solarni rycerze zjawiają się w jej wiosce przynajmniej dwa razy w miesiącu, zabierając mieszkańcom wszystko, co tylko wpadnie im w łapy. Mówią, że to dla dobra Imperium i Solarnego Kościoła, dla zapewnienia obywatelom bezpieczeństwa i ochrony.

- Pieprzenie. – powiedział pegaz, po czym splunął na ziemię.

- Tu się zgadzamy. – odpowiedziała mu klacz.

Nie wiedziała jeszcze czy powinna ufać Nocnym, jednak jej strach topniał z każdą chwilą. W pewnym momencie doszła do wniosku, że nawet jeśli wyślą ją do kopalni, niewiele będzie się to różnić od pracy na rzecz wspaniałomyślnego i litościwego króla Irvisila.

Nagle zatrzymali się. Pegaz obejrzał się niespokojnie, a wampirzyca chwyciła za rękojeść, zawieszoną przy boku, miecza. Powietrze rozdarł krzyk:

- ZA SŁOŃCE! – z krzaków wybiegł człowiek w białej zbroi, z włócznią wymierzoną w Hail Clouda.

Pegaz chwycił krótki miecz w zęby, i w ostatniej chwili zdołał wzbić się w powietrze, unikając srebrnego grotu. Zwinnie unikał kolejnych wściekłych ciosów mężczyzny. Pojawili się dwaj następni – człowiek z okrągłą tarczą, której powierzchnia przypominała gadzie łuski, oraz jasnobrązowa klacz z warkoczem ciemnych włosów. Oboje rzucili się na wampirzycę. Powietrze wypełnił szcęk metalu, odgłosy ciosów, wrzaski i okrzyki.

Mroczny pegaz zdołał w końcu pokonać człowieka z włócznią, i przybył na pomoc Nocnej. Tęgi mężczyzna z precyzją parował jego uderzenia, zasłaniając się tarczą. Wykonał szeroki zamach, uderzając go w nieosłonięty brzuch. Hail przeleciał

parę metrów, i z hukiem uderzył w pień drzewa. Wampirzyca wymierzała kolejne ciosy klaczy, aż w końcu czubek jej ostrza zdołał ugodzić kopyto przeciwniczki. Kucyk cofnął się, jednak chwilę potem wykonał szybki piruet, uderzając srebrnym pugińalem z góry. Nocna zdołała sparować cios, jednak klacz w mgnieniu oka opadła na ziemię, zwinęła jak szycujący się do skoku kot, i odbiła, wbijając jej pugińal w szyję.

Scarlet Berry z przerażeniem patrzyła na całą tę scenę. Upuściła swoją paczkę na ziemię. Klacz, skuliła się pod pobliskim drzewem, po czym zeszytywniała ze strachu. Nawet nie zauważyła, kiedy mężczyzna w białej zbroi podbiegł do niej, brutalnie chwycił za grzywę i wykręcił kopyto, przygważdżając do ziemi. Klacz wydała cichy jęk bólu.

- Trzymaj ją Hurvel! – krzyknęła klacz, wydając sztylet z czarnego szkieletu, który pozostał po wampirzycy.

Klacz z Zakonu Białych Feniksów podeszła do leżącego w bezruchu mężczyzny, z którym chwilę wcześniej walczył mroczny pegaz.

- Bravery Price. – zwrócił się do niej Hurvel – Co ze Stokerem?

- Nie żyje. – odpowiedziała ze smutkiem. – Niech Matutina się nad nim zlituje.

- A co z nią. – mężczyzna wskazał głową na uwięzioną jego uścisku klacz.

Bravery podeszła do Scarlet, mierząc ją pełnym pogardy spojrzeniem.

- Nie ma na sobie węzłów. To zdrajczyni. Wiesz co robimy ze zdrajcami.

Mężczyzna wyjął zza zbroi cienki, ale mocny sznur, i przywiązał klacz do drzewa. Trzęsąc się ze zgrozy, Scarlet Berry spojrzała w górę. Przez ciemne chmury przebijał się zimny blask księżyca. Na sękatych gałęziach siedziały ptaki, jakby zaciekawione tym, co ma nastąpić. Była tam też jaskółka, która towarzyszyła jej w podróży przez las.

- W imieniu Jego Wysokości Króla Irvisila, za zdradę Imperium Dalarańskiego i Solarnego Kościoła, zostajesz skazana na śmierć. – powiedziała obojętnie Bravery.

Nie powinna była tego robić. Nie powinna była ryzykować.

- Tak – powiedziała Scarlet, dławiąc się łzami.

Hurvel zamachnął się. Topór z szumem przeciął powietrze. Rozległ się głośny huk, który przeciął nocną ciszę. Ptaki zerwały się z gałęzi, i przestraszone porozlatywały na wszystkie strony. Jaskółka poleciała na południe. W stronę czarnej puszczy Nemzirvaldu.